

The Wayback Machine - <https://web.archive.org/web/20121025181506/http://niniwa2.cba.pl:80/naprawdemniej...>

Archiwum

Życie z dnia 2001-05-31

Dariusz Nowacki

Naprawdę mniej niż popiół

W cyklu "drugie czytanie" Dariusz Nowacki powraca do jednej z najgłośniejszych powieści PRL-u - "Popiołu i diamentu" Jerzego Andrzejewskiego

Jeszcze w latach 80. w niektórych opracowaniach dotyczących powojennego piśmiennictwa powtarzano, że "Popiół i diament" Jerzego Andrzejewskiego należy do najlepszych powieści, jakie ma literatura polska po roku 1945. Nawet ci, którzy postanowili zdemaskować tę powieść jako dzieło wysoce szkodliwe i bez mała agenturalne, zachwycali się powabem i skutecznością trucizny. Sławomir Mrozek w głośnym i bezlitosnym szkicu opublikowanym na początku roku 1983 w paryskiej "Kulturze" mówił o sobie, że jako czytelnik dał się swego czasu nabrać, ponieważ zaufał sile artystycznego wyrazu i urodzie powieści Andrzejewskiego. Kiedy dwa lata później Zbigniew Herbert w rozmowie z Jackiem Trznadłem zasugerował, iż "Popiół i diament" powstał na zamówienie funkcjonariuszy UB, a kilkanaście lat później Krzysztof Kąkolewski w książce "Diament odnaleziony w popiele" wszechstronnie rozwinął ową sugestię utrwaloną na kartach "Hańby domowej", zależność między charakterem i urodą trucizny pozostała w zasadzie nienaruszona. Wedle relacji Herberta Berman - zachęcając Andrzejewskiego do napisania powieści, która ma przekonać czytelników do porządku wypracowanego w Jałcie - miał powiedzieć: "Tylko pisarz tej miary, tego talentu wielkiego, jak pan, może...". Związek między ambitnym zadaniem i jego perfekcyjną realizacją, między fałszem politycznym, jakim bez wątpienia przesiąknięty jest "Popiół i diament", a literackim opakowaniem owych kłamstw i przeinaczeń, wydaje się oczywisty: fałszerstwo gniewa, bo dobrze (z talentem!) "zrobione", gniewa tym mocniej, im lepiej, bardziej powabnie i skutecznie "zrobione".

Nie dziwiło mnie zatem, że po tym, jak przed pięciu laty Wydawnictwo "Puls" wznowiło powieść Andrzejewskiego, przywracając zarazem wersję tekstu zgodną z pierwszą edycją książkową (1948) "Popiołu i diamentu", w jednej z niewielu not utrwalających to wydarzenie znalazłem tę oto, najkrótszą chyba, charakterystykę utworu: "dobrze napisana książka służąca złej sprawie". Czy aby nie w ten właśnie sposób myślimy o największym przeboju prozy powstałej w latach istnienia Polski Ludowej? Ponieważ coraz częściej, a zjawisko to będzie się zapewne nasilać, mamy do czynienia z sytuacją odwrotną, czyli że źle napisanymi książkami służącymi dobrej sprawie, przyszło mi do głowy, że warto zapytać o rzekomo niedościgniony wzór sprzed dziesięcioleci, o to, jak była i jest możliwa świetnie napisana książka służąca paskudnej sprawie?

Impuls zawsze przychodzi z teraźniejszości. Dzisiaj kiedy na dzieło literackie patrzymy przez pryzmat sukcesu i rozgłosu, uważnie przyglądamy się nakładom i listom książkowych przebojów, tym głośniej wypada zapytać: co się stało z powieścią wznawianą 30 razy, której łączny nakład grubo przekroczył milion egzemplarzy, przez co z pewnością książka ta spoczywa na półkach w każdym inteligentnym domu w tym kraju, a nadto, za sprawą przekładów na ponad 20 języków, jest bodaj najbardziej znaną na świecie powieścią polską (nie tylko XX wieku)? Jak to możliwe, by hit literacki tej miary umarł prawie z dnia na dzień? No i najważniejsze - jak wytłumaczyć ów błyskawiczny, cichy i wstydlivy zgon, skoro mieliśmy tyle zapewnień, że "Popiół i diament" to jedna z najlepszych

rzeczy, jakie napisano po roku 1945? Najlepsze literackie rzeczy nie odchodzą w tak marnym stylu, nie odchodzą w ogóle, gdyż anihilacja kłóci się z pojęciem "najlepszości".

Tak więc raz jeszcze przeczytałem "Popiół i diament", tym razem przede wszystkim w poszukiwaniu owych powabów, które ponoć zaczarowały trzy pokolenia Polaków edukowanych w szkołach średnich PRL-u, gdzie, jak pamiętamy, była to lektura obowiązkowa; zaczarowały - powtórzmy - w ten oto sposób, że nawet, jak czytelnik-maturzysta wiedział (np. z patriotycznego domu), iż Andrzejewski kłamie, to jednak jest to łgarstwo odznaczające się literackim wdziękiem. Przeczytałem i odkryłem to, o czym przebąkiwali nieliczni, tyle że jakby z większą - porażającą! - siłą. A mianowicie, że "Popiół i diament" to artystycznie spaaprana robota, i to spaaprana wręcz nieprawdopodobnie. Stąd też jedną z największych tajemnic współczesnej krytyki literackiej pozostaje zagadka, jak doszło do wylansowania i ugruntowania tezy, zgodnie z którą "Popiół i diament" to świetnie napisana powieść, będąca czymś w rodzaju niedoścignionego wzoru pisania w atrakcyjny sposób na tematy aktualne?

Oddajmy sprawiedliwość sceptykom z przeszłości, pośród których dwaj są najwięksi, acz z zupełnie innych parafii: Artur Sandauer i Jan Błoński. Ten pierwszy w głośnym swego czasu pamflecie wymierzonym w Andrzejewskiego ujawnił tandetę i zdemaskował publicystyczny frazes, z jakiego w dużej mierze składa się interesująca mnie tutaj powieść. Błoński z kolei wypunktował narracyjne mielizny "Popiołu i diamentu", a nade wszystko - do czego później nawiązał Andrzej Werner - opisał absurdałne i samobójcze w sensie artystycznym wysiłki pisarza skoncentrowane na tym, by wszystkim uczestnikom tuż powojennych sporów politycznych i estetycznych w jednaki sposób się przypodobać. Krakowski krytyk co prawda wypunktował, ale zakończył bardzo delikatnie stwierdzeniem, iż nie uważa "Popiołu i diamentu" za najlepszą powieść Andrzejewskiego. Oczywiście lista krytyków kontestujących ten utwór jest długa, tyle że są to głównie - od czego zacząłem - rozdarci nieprzyjaciele "Popiołu i diamentu", którzy, w imię prawdy i z szacunku dla ofiar "utrwalaczy władzy ludowej", historii opowiedzianej przez Andrzejewskiego mówią swoje zdecydowane "nie", lecz zarazem nie odmawiają temu dziełu artystycznej skuteczności. Mniej więcej tak, jak to zrobił inny pamflecista, Czesław Miłosz w "Zniewolonym umyśle". O książce Alfego-Andrzejewskiego czytamy tam: "Powieść, którą napisał, była dziełem dojrzałego talentu i zrobiła na jego czytelnikach wielkie wrażenie".

Nim zajrzemy między okładki owego "dzieła dojrzałego talentu", zapytajmy o sprawę, o którą dotąd chyba nie pytano otwarcie, mimo że wielokrotnie pisano o autopoprawkach Andrzejewskiego, tj. o zmianach, jakie ten wprowadził do tekstu: raz - gdy drukowaną w odcinkach na łamach "Odrodzenia" powieść pt. "Zaraz po wojnie", bo tak się pierwotnie nazywał "Popiół i diament", posyłał do druku jako książkę (przeróbki niewielkie) i dwa - kiedy w r. 1954, przygotowując trzecie wydanie tej pozycji, pod wpływem doktryny socrealistycznej przerobił ją dość poważnie w wiadomym kierunku. (Można by jeszcze mówić o trzeciej przeróbce, z roku 1958, uświadomiwszy sobie, że Andrzejewski był współautorem scenariusza do filmu Andrzeja Wajdy pod tym samym co powieść tytułem.) Osobne analizy poświęcili tej sprawie m.in. Stanisław Burkot, Jacek Łukasiewicz, a całkiem niedawno - Zbigniew Jarosiński. Lecz nawet ten ostatni badacz, w ogłoszonej przed dwoma laty monografii "Nadwiślański socrealizm", nie zapytał, jak rozumieć fakt, iż wszystkie wydania powieści publikowane, począwszy od roku 1954, powtarzają ów "podstalinizowany" tekst? Dlaczego po przełomie roku 1956 czy pod koniec lat 70., kiedy to Andrzejewski stał się liderem opozycyjnych salonów, autor nie wrócił do "łagodniejszej", zgodnej z pierwszym wydaniem, wersji "Popiołu i diamentu"?

Pytanie prawdopodobnie nie zostało sformułowane, albowiem odpowiedź jawi się jako wielce kłopotliwa. Bo też czai się tu gdzieś przykra prawda o nas jako czytelnikach, którym przez całe dziesięciolecia zaczytywania się w "Popiele i diamencie" (niechby nawet w ramach przymusu szkolnego) socrealistyczny wariant tekstu wcale nie przeszkadzał. To, że na przykład Andrzejewski odebrał ostatnie argumenty uczciwemu socjaliście Kalickiemu, którego PPS w pierwszym wydaniu był jeszcze "partią", w "podkomunistycznej" zaś wersji już tylko "stronnictwem", i to na przykład, że w edycji pierwotnej w pogrzebie zabitych przez pomyłkę robotników uczestniczy, zgodnie z polskim zwyczajem, ksiądz, a w wariantcie z r. 1954 księdza oczywiście nie ma; otóż to wszystko stało się dla nas ważne, ale bardzo późno. Najwcześniej u schyłku Polski Ludowej, w przeddzień wyjścia z komunizmu. To po pierwsze, a po drugie - Andrzejewski nigdy nie przestał być pisarzem niezwykle prominentnym. On po prostu mógł sobie na to pozwolić, a co wolno wojewodzie...

Były jeszcze, jak się domyślam, dwie przesłanki. Oto znawcy współczesnej literatury polskiej wypracowali pogląd, który przyjął się doskonale, a brzmi mniej więcej tak: jak na garbatego, "Popiół i diament" całkiem prosty. Czyli jak na dzieło ostatecznie opracowane w środku nocy stalinizmu, zupełnie przyzwoite. Był to zresztą pewien stały

mechanizm oceniania faktów artystycznych, jakie zachodziły w kulturze w latach istnienia Polski Ludowej - dzieło mówiące półprawdy jest lepsze od dzieła mówiącego ćwierćprawdy. Tyle że zgoda na półprawdy eliminowała w konsekwencji ideę prawdy jako takiej, ale to już zagadnienie do rozważenia przy innej okazji. Tak czy owak argumentacja typu "jak na garbatego" dotyczy również drugiej przesłanki, o której chcę tu powiedzieć. Otóż - jak już parę razy przede mną zauważono - "Popiół i diament" uratował swym filmem Wajda. Gdyby nie ów niezapomniany obraz powieść Andrzejewskiego wiodłaby być może nędzny żywocik na podobieństwo innego dzieła z roku 1954, czyli "Obywateli" Kazimierza Brandysa. Pojawienie się tego filmu (dziś wiemy - filmu należącego do ścisłej czołówki światowej klasyki) stało się racją dalszego istnienia słabej - o czym więcej za chwilę - napisanej naprędce i niechlujnej powieści Andrzejewskiego. Wajda naprawił to, co zepsuł autor "Ładu serca": przede wszystkim dał tej historii bohatera, skondensował fabułę, zarysował wyrazisty konflikt, wyrugował retorykę i na tyle, na ile mógł, odsunął w cień pomnikową postać komunisty Szczuki, przelewając sympatię na nieszczęsnego AK-owca Maćka Chelmskiego, który pod okiem kamery stał się nieporównanie bardziej sexy. Ten ostatni, jak wiemy, wymyślony przez Wajdę, neurotyczny chłopak w amerykańskiej wojskowej kurtce i w ciemnych okularach, podbił serca nie tylko młodzieży. (Czy ktoś w ogóle widział oczyma wyobraźni Maćka takim, jaki jest on w książce, pospolitym faceciakiem w płaszczu i z obowiązkowym kapeluszem na głowie?). Ogromne znaczenie miały też efekty specjalne włączone do scenariusza wbrew literze powieści (słynna scena z płonącym spirytusem, śmierć Maćka na śmietniku i inne). W sumie powstało arcydzieło sztuki filmowej zupełnie niepodobne do swego literackiego pierwowzoru, za to doskonale podtrzymujące mit najlepszej polskiej powieści współczesnej.

A jeśli już o filmie mowa, to powinien się tu pojawić argument następujący: gdyby powieść Andrzejewskiego rzeczywiście była dobrze zrobioną książką, zapewne zyskałaby obecnie status, jakim cieszą się równie kłamliwe opowieści w typie "Czterech pancernych i psa" lub "Stawki większej niż życie".

Dobrze wiemy, że w sensie historycznym i politycznym są to wredne bajki z uśmiechniętym NKWD-zistą w tle, wszelako kochamy je miłością, jaką otacza się świetnie zrobione komiksy czy inne markowe wyroby pop-kulturowe. Batman czy J-23 - co za różnica! Jeśli przykład filmowy nie satysfakcjonuje, mogę dać literacki: gdyby interesująca mnie powieść była w istocie błyskotliwym produktem błyskotliwego pióra, wiodłaby szczęśliwy żywot sagi o Panu Samochodzik. Książki Zbigniewa Nienackiego nie tylko są po roku 1989 systematycznie wznowiane, ale też - po śmierci autora - cykl ten jest kontynuowany przez innych pisarzy. Czy komuś dziś przeszkadza, że Pan Samochodzik był ormowcem (przebrany dla niepoznaki w szaty historyka sztuki) dzielnie dającym odpór zepsutym odwetowcom i nieprzyjaciołom PRL-u z Niemiec Zachodnich? Dość jednak dygresji, idźmy do tekstu, przyjmując jednocześnie, że zaglądamy do wersji kanonicznej "Popiołu i diamentu", z roku 1954, czyli tej, którą za sprawą szkoły znamy wszyscy (oczywiście, jeśli jesteśmy w pewnym wieku).

Warto zacząć od drobiazgu (czasami takie szczegóły bywają wielce wymowne). Otóż i przy wcześniejszych, i przy najnowszej lekturze zwrócił moją uwagę motyw obecny w VIII rozdziale "Popiołu i diamentu": jest 6 maja, a w świecie powieściowym panuje upał, wręcz skwar. Na plaży nad Śreniawą, rzeką przepływającą przez Ostrowiec, "roilo się od ludzi". Znaczy - musiało być rzeczywiście bardzo ciepło. Nawet jeśli czytelnik nie ma pojęcia, jaką pogodę mieliśmy na dwa dni przed Dniem Zwycięstwa, musi go zastanowić, dlaczego w tym samym czasie ludzie chodzą po ulicach w solidnych płaszczach i kapeluszach. Jarosław Iwaszkiewicz zapamiętał tamtą aurę i zaraz po lekturze powieści (pod koniec marca 1948 r.) napisał list do Andrzejewskiego, w którym m.in. wytyka pisarzowi "drobne niedociągnięcia" ("dancing za wspaniały, jak na małe miasteczko, plażowanie w pierwszych dniach maja 1945, które były zimne i ponure"). Jarosiński, który wydobył spostrzeżenie Iwaszkiewicza, domyśla się, iż Andrzejewski, zmieniając w r. 1954 dość poważnie tekst powieści, nie skorzystał ze wskazówki przyjaciela, co przecież ewidentnie wyszłoby książce na zdrowie, ponieważ chciał ocalić jak najwięcej z pierwotnego kształtu utworu. To bez wątpienia interpretacja przemawiająca na korzyść Andrzejewskiego. Ale można na tę drobną sprawę spojrzeć inaczej, o czym zresztą pisze w owym liście Iwaszkiewicz, a co Jarosiński pomija. Otóż, przy wszystkich komplementach, jakie wypowiada w liście przyjaciel Andrzejewskiego pod adresem "Popiołu i diamentu", pojawia się grymas, iż świeżo podówczas wydana powieść zdradza oznaki "niewykończenia czy niewydłubania" ("znać w powieści pośpiech czy pewien przymus pisanie").

"Niedoróbka", warsztatowa bylejakość to uderzająca cecha "Popiołu i diamentu". Zachodzę tedy w głowę, jak jeden z większych znawców naszej literatury współczesnej mógł sformułować opinię następującą: "Przy całej swej niejednorodności wewnętrznej >> Popiół i diament << imponować musi swym rozmachem epickim. Jego wielowątkowość, symultaniczne prowadzenie kilku ciągów fabularnych, wartkość akcji odsyłają nas do najlepszych wzorów powieści realistycznej" (S. Burkot; tekst z r. 1981). Nic się tu nie zgadza. Wielowątkowość nie jest

wartością samą w sobie, bo przecież nie idzie o to, by wysypać wiele klocków, lecz by coś przekonującego z nich ułożyć. Tymczasem w pierwszych godzinach akcji (czas jest tu zawsze precyzyjnie podany) pojawiają się wszystkie właściwie wątki powieści: Podgórski rozmawia z Kossecką, ma miejsce nieudany zamach, a przy okazji Szczuka ujawnia, że zna Kosseckiego z obozu, Maciek wynajmuje pokój hotelowy obok numeru Szczuki, a także poznaje Krystynę, młodzieńcy konspiratorzy w tym samym czasie odbywają naradę, ginie młody Kotowicz, pułkownikowa podejmuje szlachetnie urodzonych gości, Waga dyskutuje z Andrzejem o konieczności zgładzenia sekretarza. Rzecz w tym, że w kolejnych partiach powieści wątki te nie układają się w żaden sensowny wzór, łączy je tylko czas i miejsce akcji. Andrzejewski ograniczył się do ustawienia poszczególnych segmentów fabuły obok siebie; wątki powieściowe ani się nie przenikają, ani specjalnie nie zazębiają, nie mówiąc o jakimkolwiek wyrafinowaniu w zakresie kompozycji (symetrie, lustrzane odbicia, kontrapunkty - to rzemieślnicze abecadło). Również podziwiana (nie tylko przez Burkota) symultaniczność i wartość akcji to zalety nader wątpliwe. Powieść Andrzejewskiego obfituje raczej w mielizny i dłużyzny, do których w pierwszej kolejności zaliczyć należy nieznośne, papierowe i retoryczne - bo wycięte z ówczesnych gazet - dialogi (Podgórski - Kossecki, Szczuka - Kalicki) lub pretensjonalne pogawędki najwyraźniej zainspirowane literaturą brukową (Maciek - Andrzej, Maciek - Krystyna). Tej pierwszej wymianie zdań (dwu AK-owców w pokoju hotelowym) bliżej do rozmowy gangsterów z jakiejś tandetnej powieści sensacyjnej niż - jak dowodzono tyle razy - do prozy Conrada, ta druga (kochankowie) na kilometr zalatuje tanim romansidłem, acz i narrator wcale nie lepszy: "Po to więc kochał, aby utracić dzięki miłości wszystko, co miłości zawdzięczał?". Na to nakłada się równie nieznośny schematyzm i nudna konwencjonalność tak w zakresie rozwiązań fabularnych, jak i budowania postaci powieściowych.

Rozwijając zarzuty natury warsztatowej, musiałbym z konieczności powtórzyć szereg zastrzeżeń formułowanych w przeszłości, a zwłaszcza pretensje, które podrzucił Błoński w szkicu pod znamienym tytułem "Stygnący popiół" (1973). Ale też nie o to chodzi, by dziś, prawie 20 lat po śmierci pisarza i przeszło pół wieku od pierwodruku "Popiołu i diamentu" znęcać się nad książką, która w całości należy do swojego czasu i też w całości wraz z tamtą epoką przepadła.

Zauważyłem wcześniej, że impuls zawsze przychodzi z terażniejszości. Warto więc zastanowić się nad okolicznościami, które przesądziły nie tyle o porażce propagandowo-ideowej (na ten temat wiemy aż za dużo), ile o mizerności artystycznej "Popiołu i diamentu". Byłaby to zarazem próba odpowiedzi na pytanie, co wolno, a czego nie wolno pisarzowi robić, i to w każdych warunkach, bezwzględnie. I tak pisarz jak ognia powinien wystrzegać się interwencjonizmu. Zdaniem Błońskiego, interwencyjny charakter utworu czy też niezdrowa ambicja oddziaływania na rzeczywistość polityczną środkami fikcji powieściowej legły u podstaw tej pisarskiej porażki. Dalej - dziesięć razy dobrze się zastanowić, nim jako artysta da się namówić na tzw. aktualną tematykę. Od aktualnej tematyki zdecydowanie są gazety, nie zaś królestwo sztuki słowa. Biada także pisarzowi, jeśli zbyt uważnie wsłucha się w podszepty i zachęty krytyki. To przecież ówczesna krytyka (słynna powojenna dyskusja o realizmie) zalecała pisarzom, by ci koniecznie odwoływali się do wzorów XIX-wiecznej prozy realistycznej. Stąd wziął się na przykład dziwaczny koncept polegający na dopisaniu Kosseckiemu biografii wykradzonej z "Lalki" Prusa. W roku 1948 zabieg ten musiał zalatywać stęchłą, nieautentycznością, a dziś wygląda na niezamierzony pastisz. Poza tym zupełnie się nie opłaca szczególna troska o porozumienie z odbiorcą. Narracja wszechwiedząca, chronologiczny ciąg skutków i przyczyn, przezroczysty styl, konwencjonalny sposób kształtowania przestrzeni i charakteryzowania postaci - to doprawdy nadmiar troski, nawet jak na rok 1948. No i te moralne obowiązki literatury, przemożna chęć zbawienia współczesnych i wdrapania się na pomnik.

Najgorsze miało dopiero nadejść: "Aby pokój zwyciężył!" (1950), "O człowieku radzieckim" (1951), "Partia i twórczość pisarza" (1952), wreszcie, dwa lata później - "podstalinizowany" "Popiół i diament". Lata 50. to czas dla Andrzejewskiego stracony. Na szczęście pod koniec tej dekady doszło do przebudzenia. A nie myślę tu bynajmniej o wyjściu z komunizmu. Myślę o przebudzeniu artystycznym, o intrygującym opowiadaniu z roku 1958 pt. "Podróż", o "Niby gaju" z tego samego roku, o przełomowych w twórczości Jerzego Andrzejewskiego, niedoścignionych "Bramach raj", które zaczął pisać w roku następnym. Po roku 1960 to już nie ten sam pisarz, bo od tamtej chwili - pisarz wielki.

Autor, ur. 1965, jest krytykiem i badaczem literatury. Związany z Uniwersytetem Śląskim. Opublikował m.in. rozprawę o prozie Jerzego Andrzejewskiego " >> Ja<< nieuniknione".



[Darmowy Hosting](#) CBA.PL